



AKTUALNY NUMER - CZYTAJ WIĘCEJ

13 LIP 2021

W RELACJI DO... ROZMOWA Z JULIĄ MEDYŃSKĄ

BY ZYTA MISZTAŁ V. BLECHINGER



„To nieprawda, że artysta żyje i chce żyć w atelier i z tym mu dobrze. Jesteśmy reprezentantami całego kształtującego się życia ludzkiego, z całym zapleczem informacji o świecie. Nie można tego już sprowadzić do miasta, czy kraju. Mieszkamy na Ziemi” [.11](#)

Z Julią Medyńską rozmawia **Zyta Miształ v. Blechinger**

Dorastałaś w Berlinie. Tuż po maturze wyjechałaś do Stanów Zjednoczonych, aby studiować aktorstwo w Lee Strasberg Theatre i The Neighborhood Playhouse. Występowałaś na deskach OFF-Broadway Manhattan Ensemble Theatre. Mieszkałaś w Londynie, Kalifornii, Teksasie. Gdy zapragnęłaś zostać malarką, wróciłaś do Nowego Jorku. Wystawiasz swoje prace w Anglii, Danii. Doszły mnie słuchy, że przygotowujesz się również do wystawy w Hiszpanii. Uparta z ciebie istota. Konsekwentnie realizujesz swój plan, odważnie sięgając po to, czego pragniesz. Co jest motorem twoich działań - ambicja, czy może ułańska fantazja?

Sądzę, że i jedno i drugie. Bycie ambitnym jest dla mnie rodzajem postawy życiowej, zdolnością do ciągłej adaptacji. Nieustanną pracą nad byciem elastyczną i kompetentną.

Zatem twoje ambicje nie mają nic wspólnego z żądzą sławy, czy chęcią budowania kariery. Po prostu cenisz sobie trudność.

Dokładnie. To trudne cele mnie mobilizują. Sprawiają, że z entuzjazmem podejmuję pracę nad nowym projektem.

Aby wykreować ambitny cel potrzeba tak odwagi jak i wyobraźni. Nie lubisz ograniczeń?

Nie obdarzam ich emocją. Jeśli pojawiają się na mojej drodze, to się z nimi rozprawiam. Ograniczenia są dla mnie siłą napędową w tym sensie, że szukam rozwiązań jak sobie z nimi poradzić. I te rozwiązania, czasem mnie samą potrafią zaskoczyć. To nadaję memu życiu smaczek.

Pobądźmy przez chwilę za oceanem. Czego młodą artystkę nauczyła Ameryka?

Myślenia. Tak, to chyba najlepsza odpowiedź. Opuściłam Berlin tuż po maturze i wyjechałam do Stanów Zjednoczonych z głową pełną marzeń. W pewnym sensie zaprogramowała mnie moja babcia. Ona sama znalazła odwagę, aby wyjechać z Polski gdy miała 55 lat. Śniła o wolnym świecie, zostawiła więc w Gdańsku swój zakład krawiecki i jubilerski, całe swoje życie, nawet dziadka. To był początek lat osiemdziesiątych. Wszyscy wiemy, jakie nastroje panowały wówczas w Polsce. Babcia wciąż opowiadała jak bardzo żałuje, że nie wsiadła na pokład „Batorego” i nie popłynęła do Ameryki. Byłam jej jedyną wnuczką. Sądzę, że w pewien sposób próbowała ukształtować mnie na własną modłę. Miała ogień w sobie, uważała że świat należy do śmiałych. Wciąż powtarzała: „chcieć to móc”, mówiła, że mam dobre wykształcenie, że jestem młoda i że wszystko czego potrzebuję, to tylko mieć „oczy dookoła głowy”. Opuszczenie Europy było jednak moim wyborem. To była moja aspiracja. Już jako licealistka w Berlinie interesowałam się sztuką. Chodziłam na taniec, malarstwo, brałam lekcje aktorstwa. Miałam taką „światową nauczycielkę”. To ona rekomendowała pewien Instytut Teatralny w Nowym Jorku, w którym uczono zgodnie z teorią „realizmu psychologicznego”. Zapamiętałam to sobie i złożyłam papiery. Miałam polski paszport ale jako studentka, dostałam wizę i mogłam wyjechać. Na miejscu okazało się, że sława szkoły w Europie ma się ni jak do zastanej rzeczywistości. Jakość nauczania zdewaluowała się po śmierci Strasberga^[2]. Przeniósłam się zatem do innej szkoły, gdzie nauczano nowoczesną metodą, będącą wówczas na topie. Skończyłam studia aktorskie i zaczęłam ciężko pracować, chodzić na castingi, brać małe zlecenia.

Amerykański sen był wciąż daleko?

W zawodzie aktora to kontrakt z właściwą agencją ma znaczenie. Stąpałam twardo po ziemi, nie liczyłam na to, że ktoś wyłowi mnie z tłumy, jak to się dzieje na amerykańskich filmach. Wzięłam sprawy w swoje ręce i założyłam własną grupę teatralną. Sama organizowałam przedstawienia. Zajęło mi to sporo czasu – wynajęcie sceny, dobór aktorów. Było warto, bo w ten sposób pozyskałam dobrą agencję do współpracy.

Postawiłaś wszystko na jedną kartę. Zaryzykowałaś. Byłaś młodziutką dziewczyną, skąd ta dojrzałość, determinacja, gdzie się tego nauczyłaś?

Na pewno nie na studiach. Tam była sielanka. Dawano nam wskazówki jak rozmawiać z krytykami, jak napisać notatkę prasową ale nie pokazano jak przetrwać w biznesie, jak przeżyć. Byłam po prostu uparta, bo taki mam charakter. Pomogła mi również niezachwiana wiara we własne możliwości. Zasmakowałam tego jak wygląda życie aktorki i zapragnęłam innego życia.

Teatr cię rozczarował?

Ależ skąd! Teatr, aktorstwo jest fantastyczne. Mówię to z pełnym przekonaniem - byłam aktorką i żyję z aktorem. Ale jestem kobietą wychowaną przez kobiety i nie mogłam znieść tego, że patrzono na mnie jak na kawałek ciała. Nastąpił pewien przesyt, miałam dość traktowania mnie jak towar. „*Jesteś ładna*” do roli w Nowym Jorku ale już „*niezbyt ładna*” do roli w Kalifornii. Jakby zupełnie nie miało znaczenia to, co potrafię. No i te ciągłe czekanie. Kontrakt z agencją, nawet najlepszą, wcale nie wyzwala. Wciąż czekasz kiedy zadzwonią, czy rola będzie ok, czy będzie można się w niej wykazać. Grałam i nawet mnie to uszczęśliwiało ale wciąż byłam tylko bohaterem w czyjejs opowiadstce.

A ty chciałaś powiedzieć coś swojego.

Tak. I miałam dość czekania. Cierpliwość nie jest moją mocną stroną, a czekanie nie jest procesem twórczym. Czekając zaczęłam malować. Miałam wówczas jakieś 25 lat i byłam już mężatką. Zaczęłam od nowa uczyć się malarstwa.

To dość radykalna zmiana.

Wcale nie. Malowałam będąc nastolatką w Berlinie. Brałam wtedy lekcje u znanego artysty. To on szeptał, że coś we mnie jest, ale ja nie miałam wówczas ochoty, aby wyrobić sobie rękę. Do ciężkiej malarskiej pracy, powróciłam dopiero po latach. Powoli przekonując się, że malarstwo kocham bardziej niż aktorstwo, że te wszystkie pytania, które mnie męczą i intrygują: kim jesteśmy, jak się pokazujemy światu - to, nad czym na co dzień pracuje aktor kreując swoją rolę i budując autentyczność bohatera – że to wszystko można przemyśleć i pokazać na obrazie. Pamiętam, jak malowałam klęcząc na podłodze i zadzwonił telefon. Poczułam wtedy, że bardziej pragnę skończyć mój obraz, niż iść na kolejny casting.

Porzuciłaś aktorstwo?

To było bardzo naturalne przejście. Oczywiście zarzucano mi, że stało się tak przez rodzinne skłonności. Mam w końcu tatę malarza, więc odziedziczyłam „talent po ojcu” ale talent trzeba kształtować, rozwijać go. Malowania trzeba się nauczyć.

Może warto w tym miejscu wyjaśnić, że jesteś córką Jerzego Medyńskiego^[3], tego samego który w latach 80-tych aktywnie uczestniczył w niezależnym ruchu artystycznym.

Historia mojego ojca na pewno należy do ciekawych ale ja dopiero ją poznaję. Nie wychowałam się z tatą. Teraz nadrabiamy zaległości. I muszę przyznać, że toczymy zajadłe dyskusje. Sporo nas różni. O! Nawet ostatnio rozmawialiśmy na temat tego, co Amerykanie najbardziej cenią w sztuce.

I co to takiego?

Ulotność, efemeryczność. Ekspresja. Amerykańscy artyści nie przywiązują wagi do materii. Zdarza się im pracować nawet na najgorszych płótnach i nie blokują się, nie przejmują techniką. Mój tata nazwał to nonszalancją. W sumie mogłabym się z nim zgodzić ale też rozumiem moich kolegów. W Ameryce uczą myślenia, a nie malowania. Ważniejsze jest to, co masz do powiedzenia niż to, jak malujesz. To tutaj, w Europie ważne są umiejętności warsztatowe.

Zrobiłaś dyplom ze sztuk wizualnych na Columbia University. Zawsze mierzysz tak wysoko?

To był długi proces, na który składały się liczne zbiegi okoliczności. Mój pierwszy mąż był świetnie wyedukowany, motywował mnie. Poznaliśmy się w Nowym Jorku, kiedy pracowałam w teatrze. Opuściliśmy Amerykę i pojechaliśmy do Londynu, bo tam mąż kończył studia. Ja miałam wówczas czas dla siebie. Porzuciłam aktorstwo uczęszczałam więc na wszystkie możliwe zajęcia, dosłownie rzucając się na wiedzę. Z Londynu przeprowadziliśmy się do Kalifornii. Skusiła nas perspektywa wygodnego życia, mieszkaliśmy tam aż nastąpił Armagedon.

Mówisz o roku 2008, początku kryzysu finansowego i upadku banku Lehman Brothers?

Tak, wszystko wtedy było trudne, ludzie masowo tracili prace. Schroniliśmy się u rodziny w Teksasie, gdzie mąż zaczął wykładać historię i politykę, a ja malowałam jak szalona. Byłam „tylko aktorką”, z jakimś certyfikatem i pasją nakładania farby na płótna. Cała rodzina zaczęła namawiać mnie, abym skończyła normalną uczelnię. Rok zajęło mi przygotowanie formalności, tych wszystkich listów referencyjnych, tłumaczeń. Zdałam egzamin i dostałam się na Uniwersytet. Wtedy wróciliśmy do Nowego Jorku. Znaleźliśmy tanie mieszkanie. Pracowałam i studiowałam, mieliśmy takie cudownie normalne i jednocześnie nudne życie. Rodzina była dumna ale ja ...? No cóż...

Ty wolisz trudność.

Nie wyobrażałam sobie siebie robiącej Barbecue. Byłam głodna wrażeń i gotowa zawalczyć o „coś więcej”. Byłam gotowa na wszystko, na biedę, na stres. Wiedziałam, że nie można pracować w szkole i być jednocześnie dobrym malarzem. Po czterech latach normalności rozstaliśmy się z mężem. On wrócił do Teksasu, do życia w symbiozie z naturą w cudownej kulturze Tex-Mex. Ja zostałam w zwiariowanym Nowym Jorku.

Czy tą opowieścią zbliżyliśmy się do tematu, jaki podejmujesz w swoich pracach? Pozwolisz, że zacytuję samego Pascala „Nie zadowolamy się życiem, jakie mamy w sobie i we własnej naszej istocie; Pracujemy bez ustanku nad tym, aby upiększyć i zachować nasze istnienie urojone, a zaniedbujemy prawdziwe”.

Rozdwojenie, sekrety, maski. Tak, to jest trzon mojej sztuki, jej główna myśl. Dręczą mnie pytania o to co jest, a co nie jest rzeczywiste. Co jest „normalne”. Już w szkole teatralnej zgłębiałam zagadnienie „*private moment*”, zastanawiałam się kim jesteśmy, będąc sami ze sobą. Dociekałam ile jest w nas osobowości, dlaczego nakładamy maski „*social mask*”, jak i dlaczego chowamy przed światem „*tragic flaw*”. Co bywa tą najgorszą cechą, skrywaną głęboko tajemnicą. Moja rodzina ukrywała swoje kompleksy, niespełnione marzenia, odrzucenie, brak poczucia przynależności, czy poczucie bycia gorszym jednocześnie przybierając pozy silnych, władczych, odważnych i dumnych. Mam to niejako zapisane w genotypie. Dlatego próbuję to rozgryźć, wyjść z układu, przełamać schemat. Malując, mam wrażenie zatrzymania czasu, bycia poza nim. Mogę balansować na granicy, kontemplując czysty przepływ zmysłowego postrzegania innej rzeczywistości. To coś jak projekcja świadomości, która umożliwia mi zaistnienie w relacjach z innymi ludźmi pod wykreowaną postacią. Tworzę tam swoje własne królestwa i patrzę na nie z góry. To jest moja opowieść.

Dlaczego jest tam tak ciemno?

Trzeba mieć ciemność, aby móc wydobyć światło. To kontrast tworzy klimat. Moje światło odkrywa „coś”, jakiś zaledwie kawałek, resztę pozostawiam w sferze niedopowiedzeń, ukrywam w mroku. W ciemności gonię tajemnicę, mogę w nią wejść. To kusi. O! Filmowcy mają więcej możliwości: obraz, słowo, ruch, muzykę i dwie godziny czasu, a ja mam tylko płaski kawał materiału i jeden kadr.

Przecież ty wolisz trudność. (Śmiech) Inspirację czerpiesz z osobistych przeżyć?

Moje inspiracje to prace dawnych mistrzów, stare zdjęcia, filmy takie jak „Melancholia” Larsa von Triera. Chłonę atmosferę, studiuję kompozycję. Kolekcjonuję zdjęcia i obrazy w swoim bardzo obszernym archiwum. Szukam, w sumie to nawet nie wiem czego szukam, ale kiedy to znajduję to wiem. Chwytam wiele inspiracji naraz. Od baśni braci Grimm po dzieła Caspara Davida Friedricha. Fascynuje mnie fotografia powojenna, ze zdjęciami dzieci bawiących się w kałużach. I Rubens – to moja wielka inspiracja. Albo Mity i Biblia wypełnione alegorią po brzegi. Żyję w kilku światach naraz. Podglądam też innych artystów. Lubię nostalgię europejskiego malarstwa. Ono jest otwarte na swoją historię. Weźmy na przykład obrazy Victora Mana czy Adriana Ghenie. Kocham tę atmosferę. A wiesz co jest ciekawostką? W Ameryce nostalgia jest passé. Ci artyści dostali na nią przyzwolenie tylko dlatego, że pochodzą z Rumunii i przeżyli traumę - im wolno malować nostalgicznie. W Ameryce przydziela się tematy, mówi komu co wolno malować.

Nie masz wrażenia, że w Polsce dzieje się to samo? Jest zapotrzebowanie na obrazy „ładne”, ewentualnie „ładne i magiczne”.

Jestem w kraju od roku, zdążyłam zorientować się co jest aktualnie w modzie. Wiesz, że chciano zamknąć moją wystawę?

Przeczytano twoje prace dosłownie?

Odebrano je literalnie. Musiałam tłumaczyć, że sugestia zarysu postaci dziecka trzymanego do góry nogami przez postać matki, to jest mój sposób na pokazanie pewnej relacji, bezbronności, psychicznej zależności, a nie namawianie do dzieciobójstwa.

No cóż. Dotykasz bardzo wrażliwego tematu. Figura kobiety-matki to świętość w kulturze polskiej.

To bardzo pojemny temat ale mnie nie chodzi o feminizm, bardziej o kwestie nam najbliższe, czyli role jakie pełniemy w naszych rodzinach. Myślę o hierarchii domowej. Podpytuję inne artystki, prowadzę własne badania. Sama byłam córką i mam córkę. Interesuje mnie kwestia zaburzeń tych ról. Istnieje takie określenie jak „*Matka Polka*”, zastanawiam się co naprawdę kryje się pod tą definicją? Siłaczka, która potrafi wbijać gwoździe, trzymając dziecko przy piersi?

Definicja jest zgoła inna – „kobieta, która całe swoje życie poświęciła rodzinie i wychowaniu dzieci w duchu tradycyjnych i patriotycznych wartości”.

No to już rozumiesz dlaczego na moich obrazach jest ciemno. (*Śmiech*) W Ameryce, Niemczech w Szwajcarii, matki trzymają taki naturalny dystans, zdrowy odstęp. Sądzę, że nasze Polskie Mamy są trochę jak Mamy Włoskie, zbytnio ingerują w życie członków rodziny, nie pozostawiając im wolności. O tym są moje ostatnie obrazy.

Matka - władza absolutna i matka -źródło miłości?

W wielkim skrócie. A jeśli już rozmawiamy o rolach, to nie sądzę, aby posiadanie ambicji wpływało źle na wychowanie dzieci. To kwestia wewnętrznych ustaleń w rodzinie. Fakt, że jest się matką nie oznacza, że należy porzucić pasję. Wstaję rano i idę z dumą do swojego studia. Tak uczę dzieci szacunku do mojej pracy. Nieistotne czy mam dokończyć, czy zacząć obraz, rozmawiać z galerią, udzielić wywiadu, czy tylko pomyśleć. To wszystko jest ważną pracą składającą się na sens mojego życia. I choć jestem żoną i matką, to nie dzieje się to kosztem mojego malarstwa. Śpię mniej ale nie pracuję mniej. Jestem zmęczona – piję kawę i wracam do malowania. Sądzę, że bardzo ważne jest, aby mieć obok siebie partnera i uczciwie dzielić się zadaniami. Oczywiście, że gdy słyszę płacz mojego dziecka, potrafię odłożyć pędzel i pobiec do niego. Kiedyś takie rozproszenie ograniczało rozmach, teraz mi nie przeszkadza. Nauczyłam się też mieścić w czasie. Ba! Nawet taki domowy stoper mnie mobilizuje. Paradoksalnie moje „limity czasowe” nauczyły mnie wyłączać mózg. Mam dwie godziny na pracę? Start i maluję. Bez zastanawiania się czy to będzie dobre czy nie. Surrealiści o tym mówili - pracować bez myślenia, bo można bardzo sobie zaszkodzić, rozważając każdy gest i ruch pędzla na płótnie. Doznałam objawienia, że kiedy „wyłączam głowę” obraz sam mnie prowadzi, ten krytyk mieszkający we mnie, jakby cichnie w czasie akcji – tak zwykle powstają dobre początki obrazu.

Twoje obrazy mają pewną mroczną manierę, powiedz mi, czy kiedykolwiek próbowałaś odejść od tych fascynacji?

Próbowałam ale zawsze wracałam do specyficznego klimatu. Maluję tak, jak lubię. Nie mam „czarnej duszy” ale pociągają mnie mroczne zakamarki ludzkiej psychiki, jakbym chciała wyzbyć się upiększeń za wszelką cenę odkrywając prawdę.

Pośród scen zwiastujących sytuacje, które za chwilę mogą się zdarzyć lub właśnie miały miejsce, na pograniczu życia i śmierci, bólu i ekstazy, malujesz konterfekty odczuć takich jak samotność, lęk, niezrozumienie, czy strata. Na twoich obrazach przewija się pełen przegląd ludzkich niegodziwości i słabości, zaśnaniych ułomności, wypartych, czasem wręcz niepojętych.

I te zdarzenia sugerowane na obrazach wcale nie wypowiedają ostatniego słowa. Odbieram temu co widzialne jego jednoznaczność. Ponieważ tylko w potencjalności możliwych zdarzeń, pomiędzy skojarzeniami, a osobistym doświadczeniem, znajduje się granica dosłowności tego, co zobaczymy i co z tym zrobimy.

Już rozumiem skąd w opisach twojej twórczości jest tyle odniesień do baroku. Jedną z jego kategorii jest właśnie potencjalność.

Barok jest „sztuką podróźnych”. Staram się oddać na swoich obrazach esencję baroku, gdzie oglądający widz nie stoi przed gotowym faktem, lecz bierze udział w jakimś zdarzeniu. Jest świadkiem „stawania się”. Obrazy baroku są iluzją przestrzeni, zamierzoną nieskończonością. Ich kompozycja nie porządkuje płaszczyzny tylko głębię, która służy wypełnieniu pierwszego planu i aranżowaniu perspektywy. Barok kocha niejasność. Ja Kocham barok. Moje obrazy żyją w świetle i ciemności, które są obydwiema stronami tej samej rzeczywistości.

Czy zdradzisz mi jak wpadłaś na pomysł z serią masek? Artystyczna intuicja? Przeczucie?

Maska medyczna na moich obrazach znalazła się zupełnie przypadkowo. Rozwiązywałam sobie w ten sposób problem ukazania symbolu udręczenia, bezwolności, bezradności wobec tego, co od nas silniejsze. Malowałam prawdziwą maskę jako przenośnię, stwarzając warunki do symulacyjnego, a przy tym całkowicie rzeczywistego przeżycia zupełnie nowego doświadczenia, które mocno nadwyrężyło moje własne poczucie bezpieczeństwa. Ten cykl powstał w 2018r w Londynie, a właściwie w garażu londyńskim. Nie miałam wówczas pracowni, dostosowałam się więc do otoczenia, aby móc robić swoje. Garaż był mały, zatem musiałam porzucić swoje standardowe formaty.

Czyli?

Pytasz o mój ulubiony format? Jeśli przedstawiam postać to robię to w skali jeden do jeden. Człowiek naprzeciw człowieka - to mnie najbardziej dotyka. W Londynie nie miałam takich możliwości i powstał dylemat. Zadawałam sobie banalne pytania : malować małe bohaterki na małych kartkach? To jakby malować ich małe problemy. W końcu ustaliłam jakie są fakty i zadziały determinanty - mały garaż plus mało czasu równa się mały format. Wiedziałam co chcę powiedzieć, więc uznałam, że kartka A4 jest tak samo dobra jak wielkie płótno. Zauważyłam, że wymiar 20/25 cm jest idealny, aby malować głowy. Tak powstała maskarada.

A jakie jest to kłamstwo o maskach?

— Ludzie wierzą, że ukrywają twarze.

— Przecież ukrywają twarze

— Tylko tę, która jest na wierzchu.^[4]

[1] **Józef Szajna** - scenograf, reżyser teatralny, autor scenariuszy, teoretyk teatru, malarz, grafik. Wizjoner, twórca światowego teatru plastycznego, zafascynowany wewnętrzną wolnością, wyróżniał się brakiem pokory i odwagą w formułowaniu nowych pojęć. Reprezentował Polskę między innymi na Biennale w Wenecji (1970 i 1990) oraz Biennale w São Paulo (1979 i 1989); Szczególny rozgłos i uznanie zyskał we Włoszech, gdzie kilkakrotnie otrzymywał nagrody kulturalne (Złoty Medal Accademia Italia delle Arti e del Lavoro w Salsomaggiore Terme)

[2] **Lee Strasberg** - amerykański aktor, reżyser i producent oraz wykładowca, założyciel Theatre Institute; wprowadził rewolucyjną metodę gry aktorskiej, czym zmienił światowy teatr i kino. Uczniami Strasberga byli między innymi Alec Baldwin, Adam Sandler, Ellen Burstyn, Geraldine Page, Al Pacino i Robert DeNiro.

[3] **Jerzy Medyński** - studiował grafikę i malarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku (dyplom 1981). Laureat prestiżowych nagród i wyróżnień artystycznych. Zajmuje się grafiką warsztatową i reklamową oraz malarstwem.

[4] Terry Pratchett, "Maskarada"







